

W AMAZOŃSKIEJ NOCY

Rozdział pierwszy

W amazońskiej czarnej nocy...

- O nie! - pomyślałam i zatrzymałam się w pół kroku.

W ciemności pojawił się błysk. Tak krótki jak westchnienie wiatru w upalny dzień. Ostrzegawczy jak brzęczenie nadlatującego moskita. Krótki i ostry jak żołnierski rozkaz. A do tego...

- O nie!... - szepnęłam jeszcze raz.

Noc w dżungli jest nieprzenikniona. Jest czarna, głęboka, oblepia skórę i chwyta za gardło. Słychać w niej tupot kosmatych nóg pająka ptasznika, wilgotny szelest skóry węża ocierającego się o źdźbła trawy, drżące kwilenie obudzonego ptaka, czujny oddech aguti, trzaśnięcie gałązki i chrapliwy pomruk z paszczy, której na pewno nie chciałbyś być blisko. W oddali żaby kumkają jak chór kryształowych dzwonek, cykają cykady, krople deszczu bębnią o liście jak natchniony perkusista.

Stałam w amazońskiej najczarniejszej nocy. I wtedy nagle tuż obok mnie znów pojawił się błysk. I prawie od razu znikł. Tak jakby przebiegł między drzewami i chciał się za nimi skryć.

Wstrzymałam oddech.

To jeden z takich momentów, który może zmienić całe twoje życie. Tym bardziej, że błysk bez wątpienia był okrągły. Okrągły jak ludzkie oko i błyszczący niczym ślepią dzikiego kota czającego się w ciemności na swoją ofiarę. Okrąg stawał się coraz większy i bez wątpienia się zbliżał. Pojawiał się i znikał za pniami drzew, co z jednej strony wzbudziło we mnie niepokój, a z drugiej ciekawość.

Głos mojej podświadomości krzyczał "UCIEKAJ", ale czar amazońskiej nocy, przeświadczenie o pozornym bezpieczeństwie i pięknie otaczającej przyrody zwiódł mnie. Nagle zapadła ciemność. Ów błysk zniknął tak nagle, jak się pojawił. Odwróciłam się więc, chcąc kontynuować swoją wędrówkę.

Nagle usłyszałam za sobą szmer. Szybkim ruchem odwróciłam się i w tym momencie w moją twarz uderzyło ostre, oślepiające światło. Odruchowo osłoniłam się ręką. Lekko mrużąc oczy, zdołałam dostrzec ludzką sylwetkę, dzierżącą "tajemniczy błysk", którym okazała się być zwykła latarka taktyczna, przyczepiona do szyny karabinu.

Zanim zdążyłam wydusić z siebie choćby słowo, usłyszałam głośne trzaśnięcie, sygnalizujące odbezpieczenie broni.

- To już koniec. - pomyślałam.

Padł strzał, ale ja wciąż stałam niewzruszona. Pocisk śmignął obok mojej głowy, z dzikim świstem ocierając się o moje lewe ucho. Człowiek stojący przede mną znieruchomiał, po czym wypuścił z ręki broń, która upadła miękko na ziemię. Niespodziewanie nieobecny dotąd księżyc, któremu udało przebić się przez korony gęstych drzew, ukazał mi mojego niedoszłego zabójcę. Jedyne, co zobaczyłam, nim uciekłam, to wykrzywiona w grymasie twarz, pod którą w miejscu, gdzie powinna być szyja zaciskało się bezlitośnie ciało węża.

Nagle przestrzeń dookoła mnie pokryła się jasnym, białym światłem. Słyszałam wokół siebie męskie krzyki oraz głośny i ciężki tupot wojskowych butów. Szybko złapałam karabin, odwróciłam się i puściłam biegiem przez dżunglę. Seria pocisków, która głucho uderzyła o mijane przeze mnie drzewo dodała mi adrenaliny i spowodowała, że biegłam teraz sprintem przez pokrytą egipskimi ciemnościami amazońską dżunglę. Czułam, że moi porywacze są tuż za mną. Przerazona biegłam dalej przed siebie, nie zważając na przeszkody rzucane mi na drogę przez matkę naturę, która znudzona już moją bezsensowną próbą ucieczki, postanowiła zabrać mi grunt pod nogami. Dosłownie. W pewnym momencie moja noga straciła oparcie w postaci twardej ziemi. Poczulałam, że spadam. Z głośnym krzykiem runęłam w dół jak spróchniałe drzewo.

Moje mięśnie doznały chwilowego rozluźnienia tylko po to, aby po chwili znów się napiąć. Zahaczyłam o coś karabinem, który wciąż znajdował się w moich rękach. Najpierw, tuż po gwałtownym szarpnięciu poczułam przeszywający moje ramiona ból. Czułam jakby miliony cienkich igieł wbiły mi się w mięśnie. Nie potrafiąc oprzeć się niezmiernemu cierpieniu, jakie przeżywały moje ręce, puściłam karabin i znów zaczęłam spadać. Moje zalane potem i krwią oczy nie potrafiły już nic dostrzec. Pozostało mi jeszcze tylko jedno. Ostatni pocałunek z ziemią.

Rozdział drugi

Przebudzenie...

Poczulałam ciepły dotyk dłoni gładzący mój policzek. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam obok siebie swojego ojca popijającego kawę.

- Czy moje opowieści są, aż tak nudne? - zaśmiał się przyjaźnie.

- Nie tatku. Po prostu jestem zmęczona. - odrzekłam lekko zdezorientowana.

- Rozumiem. W takim razie nie mamy wiele czasu. - odparł zmartwiony.

- O czym ty mówisz? - spytałam z niepokojem.

Nagle wszystko dookoła nas zaczęło się rozmywać do tego stopnia, że po chwili widziałam już tylko stół, przy którym siedzimy.

- Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie. To, co zabrałaś jest niezwykle niebezpieczne. - głos

ojca stał się poważny, lecz z każdą chwilą stawał się coraz słabszy i cichszy.

- Jeżeli chcesz przeżyć musisz odnieść ten przedmiot tam skąd go wzięłaś.

- Dlaczego? Przecież to ty chciałaś, żebym go znalazła, prawda? W swoim testamencie zapisałaś mi mapę i wskazówki potrzebne do odnalezienia tego artefaktu. - spytałam zaniepokojona nagłą przemianą ojca.

- Błagam, cię córciu. Nie idź w moje ślady, nie popełniaj moich błędów, nie...- urwał, a po chwili zarówno on jak i stół, przy którym rozmawialiśmy zniknął.

Zostałam sama, a dookoła mnie była pustka. Nagle powietrze stało się tak ciężkie i gęste, że oddychanie stawało się coraz trudniejsze. W pewnym momencie zaczęłam się dusić, aż w końcu upadłam ciężko na ziemię pozbawiona życiodajnego oddechu. Dusząc się, otworzyłam oczy i zaczęłam łapczywie wciągać powietrze, dławiąc się przy tym własną śliną. Miałam trudności z podniesieniem się, a gdy spróbowałam się wyprostować, uderzyłam głową w sufit, który wydał głuchy, metaliczny dźwięk. Straciłam równowagę i znów znalazłam się na zimnej podłodze. Ochłonawszy, rozejrzałam się. Byłam w czymś przypominającym korytarz, w którego dachu znajdowała się dziura, a tuż pod nią, na podłodze wgniecenie, w którym się obudziłam. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na swoje obrażenia. Nie było ich wiele. Parę otarć, rozcięć, złamane paznokcie i okropny ból mięśni, co biorąc pod uwagę wczorajszy upadek zakrawa o cud.

Przeszłam się do końca korytarza i znalazłam małe drzwiczki prowadzące do, jak się okazało po ich otwarciu, kabiny pilotów. Byłam w samolocie. Wygramoliłam się na nos maszyny i spojrzałam w dół, chcąc ustalić, na jakiej wysokości się znajduje. Westchnęłam ciężko, gdy zobaczyłam, jaką drogę muszę przebyć, aby znaleźć się z powrotem na ziemi. Wdrapałam się na dach, a stamtąd przeszłam po gałęzi na drzewo, na którym spoczął stalowy ptak. Ostrożnie sięgnęłam po lianę zwisającą swobodnie z jednej z gałęzi i chwyciłam się jej. Przez niemiłosierny ból ramion szybko i gwałtownie zjechałam na ziemię. Gdy poczułam już grunt pod nogami, zrobiłam parę kroków, po czym odwróciłam się i zadarłam głowę do góry.

Z boku maszyny zauważyłam prawie już niewidoczną srebrną gwiazdę Amerykańskich Sił Powietrznych.

- Zapewne stary C123 – stwierdziłam.

Mój ojciec jeszcze zanim stał się podróżnikiem, był mechanikiem w Polskich Zakładach Lotniczych w Mielcu. Gdy byłam mała zaraził mnie swoją pasją dotyczącą wszelkich maszyn latających, zarówno polskich jak i zagranicznych. Dlatego nasze "wieczne rozmowy przy kawce", jak zwykliśmy je nazywać, praktycznie zawsze kończyły się na dywagacjach o nowych wspaniałych samolotach i silnikach lotniczych.

Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, ale wiedziałam, że od tej pory muszę być bardziej ostrożna. Nie mogę pozwolić, aby artefakt wpadł w ręce poszukujących mnie najemników.

Ludzie, którzy mnie ścigali chcieli zagarnąć to, co przez lata starał się odnaleźć mój tata. Aczkolwiek ja, wraz z moim starym przyjacielem poznanym na studiach w Czechach, który był jednocześnie moim przewodnikiem podczas tej wyprawy, dotarłam do opisanej przez mojego ojca świątyni jako pierwsza. Po uniknięciu i rozbrojeniu wszystkich pułapek, które zostały zastawione, aby bronić skarbu, udało mi się zabrać artefakt. Schowałam go do mojej skórzanej sakwy. Niestety, kiedy wyszliśmy ze świątyni powitało nas grono mężczyzn ubranych na czarno, dzierżących w swoich rękach karabiny maszynowe, które skierowali w naszą stronę, gdy tylko nas spostrzegli. Po chwili dołączył do nich jakiś mężczyzna, który najprawdopodobniej nimi dowodził. Miał na sobie żółte awiatory, skórzaną pilotkę i czarne spodnie taktyczne. Przedstawił się jako Laszlo. Gdy nas zobaczył, uśmiechnął się przyjaźnie i poprosił o oddanie tego, co znaleźliśmy w świątyni. Gdy usłyszał, że niczego nie znaleźliśmy, kazał nas przeszukać. Gdy jeden z jego ludzi podszedł do nas, aby wypełnić rozkaz, mój kompan uderzył go w głowę łokciem. Mężczyzna zachwiał się, co pozwoliło na dalszą wymianę ciosów. Po krótkiej kombinacji lewy - prawy - lewy najemnik padł nieprzytomny na posadzkę. Laszlo uśmiechnął się i kazał nas obezwładnić. Gdy jeszcze mówił, dwóch jego podkomendnych zaszło nas od tyłu i pozbawiło przytomności ciosem kolbą w tył głowy.

Obudziłam się w jakimś namiocie. Mój kompan był już przytomny od dawna. Moje nogi były wolne, więc mogłam swobodnie wstać. Powiedział, że zdołał już nieco poluzować więzy i że jedyne, co muszę zrobić to jakoś go rozwiązać. Zrobiłam to bez najmniejszego problemu za pomocą zębów.

Muszę przyznać, że na filmach akcji takie ucieczki zwykle wyglądały inaczej. Coś w stylu przecinania więzów, wraz z kawałkami skóry za pomocą noża, którego z nieludzką trudnością wysunęło się z kieszeni swojego kolegi za pomocą ciasno spętanych więzów na nogach, a to wszystko za plecami uzbrojonego po zęby i czujnego wartownika. Wyswobodziliśmy się bez najmniejszego problemu w przeciągu minuty. Miałam przeczucie, że coś jest nie tak. Moje przypuszczenia sprawdziły się, gdy opuściliśmy wnętrze namiotu.

Obozowisko znajdowało się w małej niecce, wolnej od roślinności. Wnioskując po kolorze ziemi, miejsce pod obóz zostało wcześniej dokładnie wypalone. Namioty ustawione były dookoła ogniska, które znajdowało się w centrum obozu. Tam czekał już na nas Laszlo wraz ze swoimi ludźmi, których lufy karabinów skierowane w naszą stronę uniemożliwiały jakąkolwiek szansę ucieczki. Węgier zachęcił nas przyjaznym gestem, abyśmy do niego podeszli. Kiedy zbliżyliśmy się do ogniska, mój przyjaciel wrzucił coś do ognia. Nie dostrzegłam, co to było, ale sprawiło, że z ogniska zaczął wydobywać się gęsty, czarny dym, który zadziałał niczym zasłona dymna. Wtedy mój kompan krzyknął "uciekaj", i rzucił się naprzód, przeskakując ognisko, żeby kupić mi trochę

czasu. Biegłam ile sił w nogach, aby znaleźć się jak najdalej od obozowiska. W końcu, kiedy niesłusznie uznałam, że nic mi nie grozi zaczęłam, niczym kompletna idiotka zachwycać się pięknem otaczającej mnie przyrody, a potem dałam się złapać, bo zaciekawił mnie błysk latarki.

Nagle niespodziewane uczucie niepokoju wyrwało mnie z moich przemyśleń. Wzięłam do ręki moją sakwę i zajrzałam do środka. Odetchnęłam z ulgą, gdy znalazłam w środku nieuszkodzony artefakt.

Postanowiłam, że moim następnym krokiem będzie znalezienie jedzenia i źródła wody pitnej. Pełna nadziei ruszyłam naprzód, przebijając się przez gęstą dżunglę. Szłam już dobrą godzinę, a wciąż nie znalazłam nic prócz liści, pni drzew, korzeni i irytujących małych gałązek, które przez cały czas musiałam usuwać na bok. W pewnym momencie, gdy odgarniałam na bok kolejną gałązkę, potknęłam się o wystający korzeń i upadłam. Ale spadłam na coś o wiele twardszego niż ziemia – stal.

Rozdział trzeci

Po drugiej stronie medalu...

Wrzuciłem do ognia, przy którym siedzieli najemnicy, pudełko z saletrą. Z ogniska zaczął wydobywać się gęsty dym, który dał mnie i mojej towarzyszkę czas na ucieczkę. Postanowiłem przeskoczyć przez ognisko i skupić na sobie uwagę, aby być pewnym, że będzie bezpieczna.

Gdy przeskoczyłem przez dym, minąłem zaskoczonych najemników i pobiegłem w stronę jeepa, którego zauważyłem już wcześniej. Wiedziałem, że jest on gotowy do jazdy, ponieważ mruczenie jego silnika dało się słyszeć z daleka. Zanim Węgier i jego ludzie zorientowali się, co się dzieje, ja siedziałem już w aucie, zwalniając hamulec ręczny. Kiedy ruszyłem, w moją stronę posypał się grad pocisków. Ponieważ mój skradziony wóz ucieczkowy nie posiadał dachu, kule mogły mnie trafić bez żadnego problemu. Schyliłem się, żeby zminimalizować ryzyko postrzału. Pociski z głośnym świstem latały dziko dookoła mnie. Odbijały się od karoserii, trzaskały w lusterka i przednią szybę.

W końcu ostrzał ustał, a ja mogłem wreszcie się wyprostować. Wiedziałem, że moi oprawcy ruszą za mną w pościg. Dojechałem do najbliższego skrzyżowania i skręciłem w prawo. Następnie zgasłem światła i wróciłem na wstecznym po swoich śladach. Potem, wciąż ze zgaszonymi reflektorami, pojechałem w drugą stronę. Droga była bardzo wyboista, co zmusiło mnie do powolnej i ostrożnej jazdy. Gdy uznałem, że nic mi nie grozi znów włączyłem światła.

Nagle usłyszałem krzyk, który bez wątplenia należał do mojej przyjaciółki. Nie zważając na wyboje, ruszyłem do przodu, wyrzucając za siebie pokaźne ilości błota. Przejechawszy parę metrów, zostałem zmuszony do ponownego zatrzymania się. Na mojej drodze stanęło obalone

drzewo. Opuściłem pojazd i rozejrzałem się. Po mojej prawej stronie znajdowała się pionowa ściana, natomiast po lewej skarpa prowadząca nie wiadomo gdzie. Zauważyłem, że na pace mojego jeepa znajdowała się skrzynia. W środku był prowiant, pistolet na race, lina oraz mała torba podróżna zawierająca lornetkę, notes i FEG P9R z zapasem amunicji. Zabrałem torbę i postanowiłem, że użyję wyciągarki, żeby zjechać samochodem po skarpie. Jedyne punktem zaczepienia było obalone drzewo. Podczepiłem się pod nie i zacząłem modlić się, żeby nie zjechało wraz ze mną. Do połowy wszystko szło gładko, jednakże, gdy byłem już prawie na płaskiej powierzchni, drzewo zjechało za mną w dół. Puściłem hamulec i swobodnie zjechałem na dół skarpy. Niemal w ostatniej chwili skręciłem, unikając kolizji z wielkim kamieniem. Zatrzymałem się, i wtedy usłyszałem za sobą głośne uderzenie. To było drzewo, do którego wciąż byłem podczepiony. Lina wyciągarki napięła się i gwałtownie pociągnęła samochód do tyłu. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam to ból spowodowany uderzeniem głowy w deskę rozdzielczą.

Rozdział czwarty

Zjednoczenie...

Podniosłam się i spojrzałam ze zdziwieniem na "stalowy kawałek ziemi". Okazało się, że był to właz. Chwyciłam za uchwyt i używając drabiny, weszłam do środka. Znalazłam się w betonowym pomieszczeniu, w którym było jedynie stare biurko. Podeszłam do niego i przeszukałam szuflady, w których znalazłam tylko notes. Dowiedziałam się z niego, że należał do inżyniera Kurta Tanka i zawierał zapiski dotyczące silników odrzutowych i samolotu, który podpisany był jako "Focke Wulf". Na ostatniej stronie notesu zauważyłam tekst zapisany innym charakterem pisma.

Opowiadał o załodze rozbitego samolotu, który podczas patrolu na skutek silnej burzy zgubił się i rozbił w amazońskiej dżungli. Ostatnie słowa mówią o odnalezieniu bunkra i zabójstwie jego lokatora, który okazał się być jednym z nazistowskich żołnierzy zbiegłych do Argentyny. Autor notatki pisze, że żołnierz wyjawiał mu, iż ukradł ten dziennik i został rozpoznany, próbując go sprzedać w argentyńskim porcie. W ostatnim zdaniu Amerykanin pisze, że nazista uciekł mu, zadając uprzednio śmiertelny cios nożem. Notatka zwieńczona jest podpisem autora: „Brandon Mackenzie – Jedyne, który przeżył”.

Odłożyłam notes na miejsce i opuściłam betonowy schron. Zamknęłam klapę i udałam się w dalszą drogę. Nagle w przerwie między drzewami zauważyłam światło. Nie było to światło słoneczne, ale przypominające światło latarki. Ostrożnie podeszłam do jego źródła i moim oczom ukazał się jeep wraz z nieprzytomnym kierowcą. Ostrożnie zaczęłam zbliżać się do pojazdu, ale kiedy rozpoznałam nieprzytomnego mężczyznę podbiegłam do auta i podjęłam próbę obudzenia go,

co po paru głośnych krzykach i mocnym uderzeniu w prawy policzek zakończyło się sukcesem.

Rozdział piąty

Odlot...

Pobudka nie należała do tych najprzyjemniejszych. Nie dość, że bolała mnie głowa to na dodatek piekł mnie policzek. Lekko oszołomiony rozejrzałem się i wtedy moim oczom ukazała się moja towarzyszka.

- Agata...? – spytałem, nie dowierzając.

- Jezu, Jindrich, tak się cieszę, że cię widzę! Masz przy sobie mapę? - spytała, nie ukrywając w swym głosie radości i wzruszenia.

- Gdzieś tu powinna być. Ale jedno mnie zastana... - nie zdążyłem dokończyć. Moja przyjaciółka zamknęła mi usta pocałunkiem.

- Błagam cię. Nie zadawaj pytań. Po prostu weź mapę i doprowadź nas do samolotu. Nie chcę tu być ani chwili dłużej. - odpowiedziała, siadając na siedzeniu obok mnie.

- Masz ze sobą ten artefakt? – spytałem, wysiadając z jeepa.

Po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi, poszedłem odczepić linę. Okazało się, że nie było takiej potrzeby. Wyciągarka została wyrwana wraz z kołem zapasowym i tylnym zderzakiem. Bujała się teraz, smętnie zwisając z drzewa.

Po przestudiowaniu mapy, którą znalazłem w schowku i określeniu kierunku podróży, ruszyliśmy naprzód, jadąc na skraju dżungli. Po mniej więcej godzinie jazdy dotarliśmy na lotnisko. Zależało nam na anonimowości, więc lotnisko było od dawna opuszczone. Na jednym z pokrytym szutrem pasów znajdował się nasz wierny M28.

Zatrzymałem jeepa, który podziękował mi, wydając z silnika głośny syk.

Wyszliśmy z auta i kiedy mieliśmy już wejść do środka usłyszałem warkot silników. Obejrzałem się i zobaczyłem kolumnę samochodów zmierzającą w naszą stronę

- Startuj! Ja ich powstrzymam! - krzyknąłem.

- Nie zostawię cię! - otrzymałem w odpowiedzi.

- Wsiadę, jak ruszysz! - odkrzyknąłem i wyciągnąłem z torby P9R otwierając ogień w stronę konwoju.

Śmigła powoli zaczęły się rozkręcać, a po chwili samolot ruszył z miejsca z chrzęstem wydobywającym się spod kół.

Wystrzeliłem ostatnią 14 kulę, która najprawdopodobniej dosięgła kierowcę, gdyż jeden z samochodów nagle zboczył z kursu i uderzył w jadącą obok ciężarówkę, która przewracając się, zatrzymała jadące za nią auta. Z przodu pozostał tylko jeden jeep, w którym dostrzegłem Laszlo.

Wyrzuciłem pistolet i wskoczyłem do samolotu, który zaraz po moim wejściu dziko skoczył do przodu. Wszedłem do kokpitu i zająłem miejsce obok mojej towarzyszki. Ze spokojem i opanowaniem przyciągnęła do siebie drążek i po chwili maszyna wzbiła się do góry. Gdy byliśmy już w powietrzu odetchnąłem z ulgą. Otworzyłem sakwę przytroczoną do paska Agaty i wyjąłem z niej błyszczącą, złotą figurkę o oczach zrobionych z rubinów. Sięgnąłem do torby i wyjąłem z niej notes, który jak się okazało należał do Laszlo. Na jednej ze stron znalazłem zdjęcie przedmiotu, który właśnie trzymałem w rękach. Poniżej znajdował się opis, w którym jego autor napisał, że każdego, kto położył ręce na świętej figurze czeka śmierć. Dalsza część tekstu opisywała ostatnią ofiarę artefaktu. Był nią polski poszukiwacz przygód, który zginął, próbując odpłynąć z wyspy wraz ze świętą figurą. Pod notatką znajdowały się prywatne zapiski Laszlo, w których pisał o ostatniej woli polskiego podróżnika. Można z niej wywnioskować, że Węgier był pomocnikiem Polaka, który umierając, poprosił go, żeby nie pozwolił jego córce pójść w ślady ojca, aby ta nie podzieliła jego losu.

Byłem pewny, że notatka odnosiła się do Agaty. Laszlo nie mógł wiedzieć, że notatnik trafi w nasze ręce, toteż uwierzyłem w to, co napisał. Powoli odłożyłem bożka z powrotem do sakwy, a dziennik wsunąłem do torby. Spojrzałem w stronę mojej towarzyszki, i otworzyłem usta, chcąc coś powiedzieć. Nagle jeden z silników zaczął się krztusić, a jedna z lampek na panelu kontrolnym zaczęła mrugać na czerwono. Po chwili dołączyła do niej druga i trzecia. Samolot zaczął gwałtownie tracić wysokość. Agata nerwowo szarpała za drążek, próbując opanować maszynę. Korony drzew zbliżały się coraz szybciej. Po raz ostatni popatrzyłem w rubinowe oczy bożka, po czym spojrzałem przed siebie i zamknąłem oczy. Potem nie było już nic prócz nieprzeniknionej ciemności.

Ciemności, której można doświadczyć tylko podczas amazońskiej nocy.